Lwów, 16. Stycznia. №7. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Zlr. półr. **3** Zlr. kwartal. **1** Zlr. **30** kr. miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Zlr.— półrocznie **4** Zlr.—kwartalnie **2** Zlr. m. k. Ryciny mód kwartal. **1** Zlr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbach*a

CZERCZA MOGIŁA.

Powieść przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

W śród błotka, na maleńkiem podwyższeniu, wznosił się kopiec ów, o który się spierano, dość szeroki obwód zajmując, cały zieloną darnią okryty, u spodu opasany był łozą, krzakami i bujnemi chwasty. Miał on kształt mogił zwyczajny, stożkowaty, a wierzch jego był zaklęsły nieco, jakby zapadły, sama wielkość wskazywała zresztą że to nie był kopiec graniczny, gdyż te zwykle nie zbyt wyniosłe sypano. Wiła który najpierwszy wszedł na wzgórze, choć doskonale i lepiej od innych wiedział czyje zwłoki pokrywała mogiła, wklęsłość jej u góry tłumaczyć począł wbiciem wiejskiego pala, który gdy wygnił, ślad jego w ten sposób oznaczony pozostał.

— A palów, rzekł, nie wbijano przecie na mogiłach, to rzecz wiadoma.

— Ale stawiano na nich krzyże, odparł rozsądnie Szumczykiewicz, który systematycznie usyp obchodził i badał.

Inni przytomni zatrzymali się trochę opodal i z trwogą poglądali na mogiłę.

— A zatem, zawołał podsędyk, jeśli waćpanowie przy swojem obstajecie, i dowodu potrzebować nie przestajecie, przystąpimy do roboty.

— Obstajemy i prosim o rozkopanie! rzekł uparty Hawnul.

— Żądamy rozkopania dla niedowiarków, powtórzył Wiła, chociaż i bez niego jasna że to jest nie co innego tylko kopiec. Obejrzał się Szumczykiewicz ku ludziom by ich wezwać do dzieła, ale Kraśniańscy poczuwając się, że im tu nie komu kopać przyjdzie, powołani, przykładem kilku zbiegłych w barci Semenowej, wszyscy drapnęli.

Hawnul w gniewie miotając przekleństwa chciał się gonić za niemi, ale go Wiła powstrzymał jakoś.

— Nowy dowód, rzekł nieważając na nic Szumczykiewicz, że lud to miejsce mogiłą być sądzi, boćby inaczej takiego do rozrzucenia kupy ziemi nie miał wstrętu.

— Panie sędzio, albo to pan niewiesz ile zabobonów przesądów u tej czerni, podwchwycił Wiła. Taki dowód jest dowód żaden! wprost potajemne frymarki strony przeciwnej.

Pan Stefan Wilczura wstrząsł się, ale powstrzymał bacznie; a Turzon gładząc wąsa, plunął i rzekł:

— Będziemy prosili o dowody zadanych nam frymarczeń i przekupstwa, bierzemy przytomnych za świadków.

Wiła z pogardliwym uśmiechem ruszył tylko ramionami.

— ¡Do kopania! do kopania! zawołał podsędyk, bo czasu nam na to nie stanie. Ale gromady Serebrzyniecka, z Obodów, Smolnego i Żabiego ani się ruszyły na zawołanie.

— Dobrodzieju, odezwał się starszy, komu to nie mogiła niech ten sobie rozkopuje, nas żebyście i pozabijali żaden jej nie ruszy.

Wszyscy spojrzeli po sobie, ale Hawnul najstraszniej się zmienił, targany wciąż będąc i jątrzony niepomyślnym sprawy obrotem; aż przykro było widzieć twarz jego wywróconą, przeciągniętą, oczy zapalone gniewem wewnętrznym, drżące wargi i uśmiech zjadły, który po nich błądził. Z rękami nie wiedział co począć, to je chował, to wyjmował to ściskał w pięści, to wyciągał palce, brał się za rękojeść szerpentyny, za pas, zarzucał wyloty, chwytał za czuprynę a ruchom tym odpowiadały nogi, któremi trawę zgniótł pod sobą i rozkwasił tok, ubijając niemi.

— Niech sąd rozkaże, a ludzie kopać będą musieli, rzekł Wiła.

— Mości panie, odparł Szumczykiewicz, temu robić, komu to ma dogadzać, wy chcecie rozkopania, wy myślcie kto ma kopać. Sąd wyrokuje zgodnie ze życzeniem waszem, a środki wykonania wam zostawia. Nie słuszna była by używać ku temu tych, co z uczucia religijnego i szanownego ze wszech miar, taki wstręt ku temu mają.

Paweł Żużel stał za swoim panem któremu towarzyszyć był zmuszony, i Hawnul do niego się obrócił, bełkocząc niezrozumiale, tak nim już pasija miotała.

— Na koń wsiąść, do wsi i bizunem mi tu ich spędzić wszystkich szelmów... a duchem... waćpan mi za nich odpowiesz...

Nie było sposobu. Zużel musiał nazad się do Semenowej przebrać barci, potem gdzie stały konie i dosiadłszy chabeta popędził do wioski, choć zrazu nie wiedział jak rozkaz spełni, i wstręt miał przymuszać, widząc że ludzie tak się obawiali rozkopywać mogiły. W pół drogi jednak po-

cząwszy myśleć, ciężar i winę całą zrzucił już na prynypała a że był człowiek przebiegły, wprost się udał do karczmy.

Tu istotnie kilku już zastał wcześniej już zbiegłych a tłum ciekawych, którzy od nich przyszli o sprawie zasięgnąć wieści, ale by się byli rozbiegli wszyscy, zobaczywszy go i przewąchawszy, po co został posłany gdyby nie użył fortelu. Konia przywiązał za karczmą do wierzby, sam tyłem wszedł do komory żydowskiej, arendarza wysłał, żeby drzwi zatarasował, i dopiero wówczas do szynkowni wkroczył. Ten i ów rzucił się do drzwi zaraz, ale Zużel począł ich mitygować.

— Posłuchajcie no zawołał, a potem zechcecie to idźcie do miliona kroćset, gdzie się wam podoba. Wiecie że pan nie żartuje a jak się pogniewa, to gniew na waszych karkach poczujecie nie raz jeden. To nie żart.

— Panie Pawle, odezwali się starsi gospodarze, do kopania mogiły nas nie przymusicie.

— A co to wam od tego ręce poopadają czy co! rzekł Zużel, czy to wasza będzie wina, kiedy pan kazał? Pan każe, sługa musi.

— Lepiej pana pogniewać niż Boga, odparł stary jeden, to się nie godzi.

— Słuchaj Semen, przerwał Paweł, niemyślcie żeby to były żarty, z panem ich niema, nieposłuchacie to i ze wsi się chyba wynoście. Tu niema co żartować, bo się na całej gromadzie mścić będzie. Wy go tak nie znacie jak ja...

Chłopi zafrasowani spojrzeli po sobie, a tuż wniesiono wódkę, którą przemyślny Zużel dać kazał i sam z kieliszkiem w ręku, częstowanie rozpoczął w koło od najstarszych.

— Do ciebie Semenie a wy macie rozum, rzekł do gospodarza najwięcej mającego wpływu na gromadę, wy rozumiecie to, kiedy starszy co każe a słuchać go musisz, to grzech kiedy jest, na starszego nie na was pada. Gromada powinna pamiętać o sobie, bo nasz pan nie daruje... kiedy trzeba to trzeba... i ja temum nie rad, a co robić, *skaczy wraže jak pan kaže.*

Chłopi pokiwali głowami, ale Semen się odezwał:

— A wy nie wiecie co to mogiłę rozkopać i nieboszczyka poruszyć? Nie słyszeliście co się stało w Gruszej górze będzie temu lat sto a może i więcej, toć wszyscy ludzie wiedzą.

— Nie, nie wiem.

— No, to posłuchajcie, i małe dziecko wam powie na około o mil dziesięć. Na polu garncarza była mogiła, ale mniejsza od Czerczej... i tak mu siadła że ją oborywać musiał, a najlepszy kawał gruntu zajmowała. Z dziadów pradziadów nikt jej nie ruszał, nawet krzyż dawniej stał na niej, ale wypruchniał i powalił się. Garncarzowi zaświtało coś w głowie, jakby nie ta mogiła, miałbym więcej kopą żyta albo i dwoma.

Mogiła już się była w ziemię zapadła, nie bardzo była znaczna, jsk zaczął przedumywać, tak se zmyślił rozorać i rozkopać.

Starzy ludzie we wsi mówili mu, taki nie ruszaj i nie ruszaj, lepiej mniej a bezpieczniej. Ale garncarz nie słuchał, wyszedł z pługiem i choć twarda była skiba bo ziemia nie ruszana od wieków, całkiem ją porznął. W biały dzień wszyscy na to patrzali i dziwowali się. — Poszedł potem z rydlem i do reszty rozrzucił, ale choć śmiał się i ochoty sobie dodawał, widać że i jemu samemu było markotno, gdy się dobrał do kości i potłuczonych garnków które leżały na spodzie. Nie dalej jak nazajutrz jak się pocznie bieda walić, zachorowała żona, pokładły się dzieci, pomorek na bydło, grad na polu..... Dopiero nieborak się opatrzył, że licha nawarzył. Dawaj na nabożeństwo, na ubogich, ale nic nie pomogło, chata zniszczała ze wszystkiem i pole porosło brzeziną, bo go się dziś nikt nietknie, żeby mu go darowano. To chcecie żebyśmy sobie naprowadzili biedy rozkopując Czerczą mogiłę, na całą wieś, na dusze nasze, na chudobę i na dzieci! Dajcie pokój.

— Wyście rozumni ludzie, odpowiedział Zużel częstując gospodarza — wam nie trzeba tego długo tłumaczyć że to co innego, a to co innego wcale. Garncarz zrobił przez chciwość i pan Bóg go pokarał, a wy zrobicie przez posłuszeństwo żeby sobie pana nie narazić. A jak by i było złe, to przecie nie na was niewinnych ono spadnie, ale na tego kto dysponował. Toć i mnie dusza miła, nie namawiałbym pewnie żebym nie wiedział, że ani mnie ani wam ta sprawa nie zaszkodzi.

Niewiem czy wymowa Zużla, czy może wódka i siła jej przekonywająca, sprawiły przecie że gromada po długiem wahaniu i wzdraganiu dała się namówić do wzięcia rydlów i ruszenia z ekonomem ku Czerczej mogile.

Tu w oczekiwaniu przybycia jej sąd się rozłożył na murawie, strony pozbierały w kupki dla narady, a Hawnul jeden, któremu niespokojność charakteru miejsca zagrzać nie dawała, szerokiemi krokami mierzył wzdłuż i w szerz kawał gruntu, na którym ta scena się odbywała. Coraz to spojrzał ku wsi i drodze, a niewidząc spodziewanych wieśniaków, zaciskał pięści i rwał suknie na sobie.

Już by był może wybrał się sam za Zużlem, gdyby wreszcie dobrze podpiła gromadka Kraśniańców nie zjawiła się pod Semenową barcią. Na widok jej Szumczykiewicz powstał i raz jeszcze zwrócił się do Hawnula.

— Mości dobrodzieju, rzekł, nie jako urzędnik ale jako współ-obywatel, pozwól bym przemówił za zgodą.

Hawnul machnął ręką.

— Zgoda będzie, odparł, jak moje oddadzą, — o innej słuchać niechce.

— Sąsiedzie, zawołał z daleka Wilczura — dajmy pokój zwłokom umarłych i rozetnijmy dyferencyą po połowie...

— Snią się waszmości umarli, śmiejąc się przerwał dziedzic Krasnego... Kiedy strach to czemu całej sianożęci nie oddasz?

Wilczura umilkł.

— A zatem? spytał Szumczykiewicz, badujący wzrok rzucając wkoło.

— Co ma być niech się stanie! dodał Hawnul.

— Prosimy sądu o dalsze przeprowadzenie dowodów jako mniemana mogiła jest kopcem granicznym, dorzucił Wiła, z ukosa patrząc na Hawnula.

— Niechże będzie jak sami chcecie! zawołał Szumczykiewicz.

— Tak! stań się wola wasza, rzekł Wilczura, ale zanim się stanie biorę wszystkich przytomnych za świadków, jakem ja nie dał powodu do świętokradzkiego czynu i wszelką przed Bogiem i ludźmi odpowiedzialność zań, zrzucam na kogo spaść powinna.

Hawnul uśmiechnął się tylko, wieśniacy właśnie strwożeni, pozrzucawszy czapki i świty przystępowali z rydlami; a przytomni kołem otoczyli z zaostrzoną ciekawością tajemniczy ów kopiec.

— Sąd na żądanie wielmożnego Samuela Hawnula, dziedzica wsi Krasne, nakazuje rozkopanie kopca, zwanego Czerczą mogiłą, zawołał Szumczykiewicz.

— Do roboty! krzyknął Hawnul niecierpliwie, mospanie Zużel, napędzaj!

W milczeniu przestrachu i nie bez wstrętu jęli się podpili włościanie rydlów i pierwszą warstwę murawy zdzierać poczęli z pagórka. Otaczający obstąpili ich, poglądając na każde uderzenie o ziemię, na każdą garść którą na bok odrzucano.

Kopiec nasypany był z piasku i gliny otaczającej i nic w nim z razu nie dozwalało się domyślać pogrzebionego ciała. Najmniejszego nie było szczątku, najdrobniejszyej resztki, mającej jakieś znaczenie. W miarę jak się zniżał wierzchołek, jak się obnażały boki, Matjasz Wiła wciąż powtarzał:

— Proszę uważać, jestli tu najmniejsza suspicja grobowa? gdzie trup, gdzie kości? kopiec mości dobrodzieju! Grób choć wiekowy nie pożre tak ciała, by po człowieku choć ślad niepozostał... tu nic! tu nic... krom szczerej ziemi.

Reszta przytomnych, Hawnul nawet, milczał zamyślony; kopano dalej.

— Zdaje mi się że byłoby tego dosyć, dodał Wiła, gdy doszli do pół wzgórka, daremna delej robota, jak nic nie było, tak nic nie będzie.

— Za pozwoleniem, odparł systematyczny Szumczykiewicz, jeśli się co robi, potrzeba dokonać wedle prawa i formy. Wiemy to że ciała chowano na samem dnie, na równi z ziemią, przysypując je potem pagórkiem; wiemy też że żużle, węgle, lub kamienie oznaczające kopiec graniczny, dopiero na dnie znaleść się mogą, zatem co poczęto, dokończym.

— Robota daremna, rzekł Wiła.

— Zobaczymy, odparł Turzon, nie mów hoc kolego, aż przeskoczysz.

I znowu nastąpiło milczenie długie, a pot lał się z czoła pracujących, którzy zbyć się chcąc nienawistnej roboty, z gorączkowym pośpiechem odrzucali coraz nowe warstwy ziemi.

Już byli wkopali się w głąb, pośrodku mogiły, brzegów nieco zaniedbując, i przytomni z wlepionem okiem poglądali w dół, który rydle coraz dalej dobywały, gdy jeden z włościan krzyknął, rzucił rydel i odskoczył.

— *Bihme!* zawołał, rydel uderzył w coś twardego.

— Kamień, rzekł pośpiesznie Wiła.

— Kopać dalej! odezwał się Szumczykiewicz, a ostrożnie.

— Trumna! trumna! krzyknął chłop drugi.

— To być nie może! zawrzał Hawnuł... to być nie może!

Zrobiło się chwilowe zamięszanie i byliby może chłopi pouciekali znowu, gdyby ich starszyzna nie ostąpiła i podsędyk dalej kopać nie przykazał. Z ostrożnością więc szła dalej robota, a kiedy niekiedy stuknięcie rydlów o coś twardego obiecywało prędkie przekonanie o charakterze usypu i tem co w sobie zawierał. Zaczęto odrzucać glinę po troszę, zaczerniał spód i powoli z łona piasku i brył zsiadłych poczęło się ukazywać ciemne jakby wieko trumny, którego kształt podłużny wątpić nie dozwalał o znaczeniu.

— No cóż! zawołał Wiła... wielka rzecz zgniła deska dębowa, to się i w kopcach znajdować mogło, różne były obyczaje przy oznaczeniu granic.

Nikt na tę apostrofę nie odpowiedział i sam Wiła umilkł nagle, gdy końcem rydla nieostrożnie podważone proste wieko przegniłej trumny, usuwając się na bok, widokiem niespodziewanym przeraziło wszystkich.

Trumna obnażona była jednym klocem starego dębu, wyżłobionym ręką ludzką na kształt koryta, wylanego grubo smołą. W niej pokryte wiekiem z jednej grubej deski spoczywały zwłoki jakieś, dziwnie cało dochowane pod suchym piaskiem w smole i drzewie opiekuńczem.

W jednym końcu leżała jakby odcięta głowa, obciągnięta jeszcze gdzieniegdzie przyschłą czarną skórą, pokryta czapką z galonkiem poczerniałym, której śmierć nadała wyraz szyderski i straszny. Czarne jej oczów otchłanie, białych zębów dwa rzędy i policzki zapadłe, pościągane, zmarszczone zdawały się śmiać z żywych, miotając ku nim groźbę z za świata. Hawnul który stał w nogach, w prost pierwszy spojrzeć musiał na dobytego nieboszczyka i mimo że po sobie tego nie pokazał, pobladł z przerażenia które starał się pokryć uśmiechem niezręcznym. Wiła zaciął wargi i spuścił oczy.

Oprócz tej poczwarnej trupiej głowy widać było w dębowej owej skrzyni i inne reszty słusznego wzrostu znać i ogromnej postawy mężczyzny, na nogach resztki butów czerwonych, w koło pasa jakieś mosiężne łańcuszki, ale członki nie leżały w porządku jak były powinny, czy to że je uderzenie rydlów roztrąciło, czy z innego jakiego powodu. Jedna ręka odpadła od ramiona, w poprzek na nogach rzucona była, druga aż po za głową.

Na żebrach uchowały się resztki odzieży która przybrała barwę brunatną, grobom właściwą, powlekającą kości, szaty i wszystko co ziemia w sobie pochłonie. (D. c. n.)

Skarga gęślarza.

Smutno nam gęślarze, śpiewacy nam smutno,
Na wielkim smętarzu, a z pieśnią pokutną,
Pogrobowcy biedni, sieroty bez domu,
Złote mamy pieśni, ależ śpiewać komu?..

Na starym Wawelu, w narodu świątnicy,
Śpią snem nieprzespanym nasi wojownicy.
Drużyna ich wierna, jako szumią łany
Po stepach bojowe zaległa kurhany;
Na tarczach rozbitych, z szablami krwawemi,
Za chwałę Marji, za sławę swej ziemi,
Polegli, szczęśliwi, śród sławnej gonitwy,
Na spokój im brzmiały rycerskie modlitwy,
Szczęśliwi! mieczami im groby kopali,
Zwycięzscy hetmani mogiły sypali.

Dzisiaj pamięć dzielnych mierzchnie, milknie codzień,
Z sierocych grobowców urąga przychodzień,
Wicher rozwiał domy, groby niszczą pługi,
Imię wnuków czyny, rdza miecze, kolczugi;
Na smętarzu głucha cisza i pustkowie,
Lub zawodzą tany wyrodni synowie,
Nie rozbudzi echa huk trąby pogromu,
I gęślarze milczą, komuż spiewać, komu?

Przy starym Wawelu, przy Krakusa grodzie,
Bohatera kopiec czołem chmury bodzie,
A wierna drużyna, jak kraj ojców miły,
Po stepach bojowe zaległa mogiły.
W wieśniaczej sukmanie, z kosami ostremi,
Za ojców ogniska, za całość swej ziemi,
Walczyli, polegli, na świętym ich grobie,
Trzech plemion płacz rzewny, a wszyscy w żałobie,
A synowie świętych, na hańbę ostatnią,
Zbroczyli tę ziemię krwią niewinną, bratnią,
Wspomnieć serce pęka od bolu i sromu,
Toż śpiewacy milczą, komuż śpiewać? komu?

Grzmiała burza w polu, orły poleciały...
Gdzieś gorżkiemi łzami obce myją skały,
Patrząc w lubą stronę wypatrzyli oczy,
Nad rodzinnem siołem chmura niebo mroczy,
Górą huczą burze, dołem mrok zamieci,
Ani jedna gwiazdka jaśniej nie zaświeci,
Nie dolecą wieści, prócz łkania i gromu,
I śpiewacy milczą, komuż śpiewać, komu?

Wspomnieć, serce boli za przeszłością sławną,
Ci co warci pieśni już pomarli dawno,
Lub jak cienie blade, błądzą za morzami,
Komuż dzwonić, komu, złotemi pieśniami?!

J.

JEDNODNIÓWKI.

(Ciąg dalszy)

Któż z nas nie marzył o brzegach Wisły? Któż nie widział w jasnych jej wodach rozpuszczonych warkoczy młodej dziewicy, płaczącej tyle marzeń poległych, tyle snów zawiedzionych.

Mówią że sentymentalność w pojmowaniu natury zawitała do nas dopiero z klasycyzmem francuzkim. Nie zdaje się nam to być słusznem. W sercu każdego człowieka jest zasób uczucia, które rozwija się w miarę wpływających na nie okoliczności. To samo i o narodzie powiedzieć można. Nieszczęścia, cierpienia oblekają źrenicę łzawą powłoką, a na jej sklistej tarczy łamie się swiatło gasnące w tysiączne, tęczowe połyski.

Byłto dzień późnej jesieni, a mgliste niebo roztoczyło się jak sklepienie grobu nad piękną, nadwiślańską doliną. Szary, przyćmiony jego koloryt podwyższył wprawdzie wdzięki ziemi, ale szaty jej przedgrobowe jaśniały tak jaskrawo, jak szaty podstarzałej zalotnicy, która jasnością barwy chce zastąpić ubytek wdzięków przyrodzonych. Tylko wody Wisły odbijały tem jaśniej od wierzb pożółkłych, im więcej mgły i chmur zasłaniało jej oblicze słońca. Tak łagodnem i miłem światłem jaśnieje obraz kochanki, gdy chmury nieszczęść zakryją nam słońce naszej przyszłości.

Na lekkiem ponad brzegiem wzniesieniu stał dwór zamożnego szlachcica. Otaczało go jakieś światło jaśniejsze i przeźroczystsze, bo mgła jesienna rozłożyła się tylko po wklęsłych dolinach. Był on czemśiś więcej niżeli dworkiem szlacheckim, a mniej niżeli pałacem magnata. W całem zabudowaniu widać było dostatek i zamożność, a pomimo że tu i owdzie spostrzegać się dawał brak gustu wytworniejszego, widać jednak było, że mieszkaniec nie był wolen próżności ludzkiej, tylko ją w nieudolnych wyraził formach.

W całym bowiem rozkładzie i rysunku przebijała się jakaś zacięta walka tradycyjnych zwyczajów z nowożytnem

wyobrażeniem, a chcąc obok dawnego pomieścić i nowe, uczynił był architekt jakąś dziwną gmatwaninę staroświecczyzny i nowszego smaku. Że zaś ten dwór w obszarze mili kwadratowej nie miał do porównania żadnego innego budynku, jak nędzne chałupy, ze strzechą obdartą lub połataną, to też i fason jego imponował wyśmienicie w takiej samej przestrzeni, począwszy od kościołka i plebanii aż do zajezdnej karczmy na rozstajnej drodze. Jedna tylko dzwonnica mogła wejść w szranki o pierwszeństwo, co do dziwaczności rozmiarów swoich, ale przezorny architekt dworu, przewidując to współzawodnictwo, podciął jej sporo czupryny, jak służącemu hajdukowi, przez co stosunek tych dwojga architektury krajowej dziatek, jak najwybitniej się wyraził.

Ale dzwonnica z podciętą czupryną i dwór z nasadzoną po same węgły rogatą czapką, niedałyby nam wątku do dalszej naszej powieści, gdybyśmy z ich fundatorem niechcieli się zaznajomić.

Patrzał i on przez okno na rozległą nadwiślańską dolinę, puszczał wzrok po jasnych Wisły warkoczach, ale myśl jego snowała na tem tle obrazy żyjących postaci i dramatyzowała je według przelotu uczuć różnorakich, które za każdą nową falą rwały się i wiązały w jego sercu, pamięcią tylu dobrych i złych chwil obciążonem.

Byłto starzec ośmdziesiąt-letni, czerstwego oblicza i olbrzymiej postaci. Czoło miał wysokie i gęsto zmarszczkami pomięte, a nad siwą brwią świeciła się szeroka blizna. Wąs biały jeżył się jeszcze do góry, i usta zacinały się jeszcze z marsem, i oko łyskało ognistem światłem, ale prawica jego już nie była do kordu. Oparta o grubą kulę wisiała bezwładnie, jak trofea zawieszona w świątyni pamiątek!

Bo też prawdziwą pamiątką swego czasu był starzec ośmdziesiąt-letni, i snadź nie być mu już między żyjącymi, jeźli samotny przechadza się po komnacie, na której ścianach zawieszone są jego antenaty.

Ciekawe studium byłoby dla archeologa, obejrzeć w porządku obrazy tych antenatów. Zdaje się, że artyści ówcześni, tak samo jak malarze przedmiotów religijnych, a budownicy dawnych kościołów, wydoskonalili byli pewien typ prozarpii rodowej, i takowy tradycyą potomnym malarzom przekazali. Wpatrując się w takie obrazy, mimowolnie nasuwa się nam typ widzianej jakiejś postaci, który z małą odmianą akcesoryów, powtarza się tysiąckrotnie, a tem samem utwierdza w nas wiarę tradycyi, jakoby wszyscy ludzie jednego wspólnego mieli praojca. Do takiego typu należy niezbędnie kolosalność rozmiarów, niepoprawność rysunku i koloryt jaskrawy, co razem wziąwszy wyrażać ma sztukę w najpierwszym jej rozwoju. Wszelako znane nam są podobne produkta przemysłu ludzkiego, a jaki taki znawca sztuki, rozpozna z łatwością, jacy to mężowie składali się na członków takiego rodowodu. Uboga podrabiacza fantazya szukała wzorów z ludzi sławnych całej Europy, którym niemiłosiernie goliła czupryny, przyprawiała brody szwedzkie, lub ich stroiła w ubiór hiszpański.

To też nie dziw, że staruszek ośmdziesiąt-letni chodząc sam jeden po komnacie, i rozmawiając z swymi przodkami, rozmawiał właśnie z Henrykiem czwartym, królem francuskim, któremu artysta pół głowy ogolił — lub z Karolem XII. Szwedzkim, przed którym tylko miasto insygniów królewskich, herb rodu polskiego położono. Tuż znowu przez dziwaczny zbieg okoliczności jeden z przodków, będący z sumienia i życia Socyaninem, był jak dwie krople wody podobny do papieża Grzegorza III., tylko zamiast tyary, założył mu jakąś czapkę luterską na głowę. Figurował też także zięć naszego Leszczyńskiego, Ludwik, XV. z całą wykwintnością francuzką, i przedstawiać miał zaciętego praw Leszczyńskiego obrońcę.

Jakkolwiek towarzystwo to, złożone z ludzi różnych narodów i języków, nie rozumiało poufnej, polskiej starca rozmowy, zdawało się jednak uśmiechać dobrodusznie na dowody tak dobrej wiary mniemanego potomka. Bo też uczciwą była wiara staruszka. Ród jego stary i zamożny, wplątał się znacznie jak nić czerwona, w pasmo dziejów ojczystych, ale przodkom jego chodziło może więcej o to, aby czyny swoje zostawić w pamięci potomków, i je tam ostrzem miecza swego nakreślić, ale nie myślano wcale, zostawiać im miasto sławy i czynów, płótno malowane. Tym wszakże niedogodnościom poradziła fantazya malarza, a uszczęśliwiony potomek wpatrywał się przez całe dnie marsowym twarzom swoich antenatów, i z najuczciwszą wiarą wyczytywał w ich licach dzieje ubiegłego ich żywota.

Już po raz dziesiąty obchodził staruszek szereg obrazów na ścianie wiszących, a jeszcze z tym samym płomieniem w oku zaczynał przegląd jedynasty. Stanął przed ojcem rodu, olbrzymem od stóp do głowy uzbrojonym, a twarzą zarośniętą. Zacisnął pięść i chciał coś mówić do niego, jakby do współczesnego sobie, gdy się drzwi od pobocznej komnaty otworzyły a z nich wyszedł chłopczyna cudnego oblicza. Miał może lat szesnaście, i był ubrany z francuska. Ucałowawszy rękę starca, rzekł do niego poufale:

— Dzień dobry dziadziu, cieszyłem się już naprzód, że mnie te obrazy pokazywać będziesz.

— Obrazy — odparł starzec marszcząc brwi — w kościele są obrazy, a te tu, to przodkowie twoi, chłopcze, którzy żyli z chwałą, a których imię nosisz — to Junosze!

I jeszcze więcej zabłysło oko starca; porwał chłopię i przycisnął je do swych piersi.

— Tak jest, ty jesteś potomkiem Junoszów — ale ród ich, dodał smutno, już się wyradza! Pożal się Boże, tę waszą naukę dzisiejszą, którą Pijarzy obałamucają wam rozsądek zdrowy, a rękę, która ma być do korda, nad-

wątlają niepotrzebną pisaniną i elaboratami, co ich do wroga nigdy nie zaaplikujesz! Oto patrz chłopcze, czem jesteś w obec twych antenatów?

— Wszak urosnę jeszcze.

— Nigdy! karłem będziesz, tak jak świat cały karleje!

— A przecież ukazał mi raz ksiądz Pijar w Warszawie Andrzeja Zamojskiego i mówił: patrz, oto wielki człowiek! — chociaż nie miał takiego wzrostu, jak ten w żelaznej zbroi.

— Dobreć to jest chłopcze, *jurare in verba magistri*, ale nie zawsze. I ksiądz pijar nie zjadł wszystkich rozumów a w całym Alwarze także nie ma go wiele. Jeźli Zamojski jest tak wielkim człowiekiem, czemu nie odżegna tej burzy, co naszej ojczyźnie zagraża? Oto Stanisław August usiadł jak malowany na tronie, kraj rozszarpany na liczne konfederacye, nie ma uszanowania dla siwej głowy — młokosy górą — a zewsząd *hostilitates!* Nie było to, kiedy król, zamiast sprowadzać włoskich bazgraczy i z nimi przy farbach siedzieć, miał bułat w ręku i nim swoje zwycięztwa na żelaznych bramach zapisywał! Inaczej wysługiwali się krajowi Junosze!

— Mówił mi ksiądz Pijar, że jak teraz tak i dawniej trzymali jedni z królem, a drudzy nań nastawali.

— Trzymali, jeźli król i naród byli jedno.

— Junosze zapewne zawsze z królem trzymali, bo on ich za to nagradzał.

— Nie zawsze.

— To poważyli się stanąć na przeciw króla, i jak ksiądz Pijar mówi, podnieść rokosz?

— Musieli mieć do tego ważne powody.

— Komu służył ten — co z tą bródką wygląda jak Szwed lub Hiszpan?.

— To Bogumił Junosza — mąż wielkiej zasługi, a pradziad rodzony, po mieczu. Był on w bitwie pod Kliszowem i walczył po stronie Augusta II. prawowitego króla polaków.

— A te tureckie meczety przy jego nogach cóż to znaczą?

— Bo zginął w Benderze, zasłaniając piersią króla Karola XII. przeciw gwałtom tureckim.

— A jakże to się stać mogło?

— *Alterae circumstantiae, altera opinio.*

— A ten z francuska ubrany, obok niego?

— To brat Bogumiła — Stanisław. Zginął pod Kliszowem, walcząc po stronie Leszczyńskiego.

— To z Szwedem trzymał i stał przeciw bratu?

— Zdarzało to się w rodzie Junoszów, jednak zawsze *salva conscientia.*

— A przecież ksiądz Pijar mówił nam nieraz, że to były klęski narodowe, gdy bracia stała przeciw braci.

— Toż dzisiaj jajo mędrsze od kury — a Stanisław Konarski na to ojców Jezuitów z edukacyi wyrugował, aby lada młokos zdaniu staremu przesądzał i *ut vir* oponował? Niegdyś uczył inaczej ojciec Jezuita historyi narodowej. Ja sam musiałem aż trzy ody *in hexametro cum pentametro* na cześć Zygmunta starego jako *pensum elaborandum* napisać, i jego gorliwość katolicką wychwalić. A była *Fons inspirationis*, bo Zygmunt był wielce kuszony, nie mniej jak św. Augustyn przez sny swoje. Korona Moskwy, to mi pokusa nie lada — Waść byś dzisiaj sto razy gotów zostać heretykiem, by ci kto choć jeden dyament z tej korony był obiecał. *Et Roma vicit* — król odepchnął pokusę szatana *et conscientiam salvavit.* Dzisiaj, w bezbożnym wieku, inaczej to widzą, bo nie widzą tego, co nam niegdyś drogę całego żywota oświecało! Dzisiaj każdy w swej kieszeni nosi latarkę, a wedle tego, jak mu potrzeba, stawia ją i oświeca sobie drogę, jaką nasi przodkowie nigdy nie chodzili. Dzisiejsza wasza edukacya, to jak mur pruski, zewnątrz niby mur i kamień, a wewnątrz pruchno, słoma i glina! Bezkształtne wprawdzie były dawne nasze roboty, ale był to kamień ciosowy.

Młody Junoszów potomek patrzał dziwnem okiem na rozognione lica staruszka, którego mowa tą samą odznaczała się sprzecznością, jaka wyrażała się w dziejach rodu jego, a nawet w ubiorach i postaciach zawieszonych na ścianie antenatów.

— Dziwi cię to, ciągnął dalej staruszek, że Junoszowie w różnych bywali obozach a nawet przeciw sobie walczyli. Toż przecież żaden z naszego zasłużonego rodu Junoszów nie służył prywacie możnego, tylko wedle najlepszego swego przekonania, stawał w obronie ojczyzny, i jej praw zagrożonych. Wprawdzie niepotrzebnie sprowadził Radziejowski na Polskę Szweda, bo działał z urazy osobistej, to też Bogumił Junosza staje po stronie króla prawowitego. Później gdy trzeba było bronić prerogatyw naszych, stanął po stronie Szweda. Chmielnicki był prostym buntownikiem i do tego obstawał za heretykami (tu spojrzał staruszek z widocznem nieukontentowaniem na szeroką twarz przodka socyanina) a chociaż jeden z Junoszów pod Zborowem, (i tu rzucił starzec wzrok wedle pieca, gdzie w pół-cieniu zawieszona była figura jakaś w stroju kozackim) z Chmielnickim trzymał i *contra patres societatis Jesu*, w traktacie wiele oponował, a nawet następnie do Cara wraz z swoim hersztem się przeniósł, wszakże był to mąż prawy i dzielnej duszy. Służył wprawdzie nie najlepszej sprawie, ale w przekonaniu swojem był niewinnym. Nie każdemu bowiem dano jest, dojrzeć skrytych celów jakiego stronnictwa, to też nie trzeba sądzić ludzi według złych naczelnika zamiarów, ale według tego, czem każdy był w obec własnego swego sumienia... A każdy z Junoszów był prawym kraju obywatelem.

I zadumał się paralityczny staruszek nad lepszą przeszłością rodu swego, a patrząc w obecność, zdawało mu

się, że jest uschłym konarem potężnego drzewa, któremu do życia rodzimego zabrakło powietrza.

Duszno bo było w ówczas w ziemi polskiej. Była to jesień roku 1767.

Młody zaś Junoszów potomek przemyśliwał nad tem, co mu dziadek jego na usprawiedliwienie niektórych rodu swego członków był powiedział.

Zdawało mu się atoli, że dogmat dziadka więcej miałby znaczenia na dolinie Józefata, niżeli na scenie żywota politycznego.

Śród tego dał się słyszeć tętent koni na podwórzu, a dziad i wnuk pospieszyli do okna, przed którym zatrzymało się kilku jeźdźców zbrojnych. (C. d. n.)

Ziemia Bełzka.

(Ciąg dalszy).

Życie domowe *bełzkiego* szlachcica pozornie jednostajne, ciche, spokojne, pracowite, nawet skrzętne, na podobieństwo niby rodzinnego Bugu płynie beznamiętnie, powolnie, ale to tylko wiosną i latem, a zwłaszcza dopokąd polowe trwają zatrudnienia. Ale niechno ów pracowity gospodarz ostatnią w polu poszyje stertę, i ostatnią garść pszenicy w urodzajną rzuci ryzę, toż to tu zacznie się i życie! Wtedy to w różnych kierunkach owego wieńca, złożonego z stykających się prawie z sobą dworców, dworków, i dworeczków dostrzeżesz przelatujące bryczki, i bryczeczki, wózki i powoziki, wiozące w odwiedziny do sąsiada. Gdzie indziej konno, na przełaj, ozininami, lub świeżo pooraną ziemblą, sadzą jeźdźce, a za niemi na sforach rwą się i skowlą niecierpliwe charty, gdy tuż w okolicznym borze grzmią trąbki, grają na oko doganiając ogary, i podwojone ozwały się strzały..... A że jakoś pod jesień najwięcej tu w okolicy imienin przypada, więc fety! A naprzód już wiesz, że cię wszędzie przyjmą z sercem uprzejmem, otwartem, staropolskiem i że bez tej jakiejś sztywności i przymusu, ubawisz się należycie, i wyhulasz całą duszą, choćby tylko po jednym fortepianie, a nie, to i po *Tuturkowskich* domorodnych grajkach, co w trójkę takiego skocznego urżną ci od ucha mazura, że gdybyś miał i do ziemi nogi przyśrubowane, to taki byś jeszcze się urwał i duszą całą pognał w ten dziarski, ochoczy tan! Więc młodzież hulać! starsi gdzieś na uboczu przy cygarach lub fajce gawędzą, i rozmaite z obecnych na przyszłe czasy wywodzą horoskopy. Więc i partyjka preferansika a nawet czasem na waletę i diabełek na stoliku się pojawi, ale *moderato*, bez namiętności, szału i owych obliczań z góry już, na pewny zysk lub stratę.

A płeć nadobna? owa dusza wszelkich zebrań i zabaw?... Poważniejsze siedzą w kółku pospołu i coś sobie do uszu szepcą, gdy tymczasem nie jedna *mama* gdy półuchem niby słucha co jej sąsiadka prawi, całą baczność zwróciła, i macierzyste oko z tajemną chlubą wlepiła w jedynaczkę, co tam w objęciach młodzieńca któregoby chętnie zięciem powitać kiedyś pragnęła, jak lekki, ulotny cień po posadzce się suwa. Młode, zaś a jest ich tu więcej jak męskiej młodzieży, rade że choć w tańcu złapią chłopca, więc hulać chcą do upadłego! Bo to i tutejszej młodzieży, chcąc być sumiennym i otwartym zarzucić należy, tę ogólną wieku naszego obojętność, ten chłód i to jakieś ze wstrętem wyraźne unikanie towarzystwa kobiet, co na ich moralną korzyść bynajmniej nie wpływa.

Że obywatele tutejsi z bardzo małemi tylko wyjątkami tych, co mają pieniężne kłopoty, w interesach swych stoją w ogóle dobrze, więc też i u każdego w domu znajdziesz w życiu codziennem, tę pewną w miarę dostatność, co to ani z zbytkiem ani z skąpstwem nie graniczy, u każdego kucharz dobry, więc też i kuchnia, choć bez zamorskich przysmaków smaczna i obfita. Pić nie mają tu w zwyczaju — bo niepojmują tego, aby tylko spojeniem przekonać gościa że się go dobrze w domu przyjęło, wreszcie jeżeli piją, to w miarę i to dobre wina.

Rozmaitość.

* W wstępie do satyrycznego szkicu Jednodniówek, autor ironicznie mówi, iż wnosząc z wad ludzkich, nieuznaje tradycyi pochodzenia człowieka podanej przez Mojżesza, a czyni to podobnie jak krytycy którzy nie zapatrują się na dzieło, czem ono z założenia jest, lecz mu inne cele przysądzają a myśl autora za zwichnioną uważają. Jak więc krytykom w ten sposób najłatwiej spotwarzać każdy geniusz, tak i on podobnie sobie postąpi i zaprzeczy iż człowiek jest ideałem stworzenia, odblaskiem wiecznego bóstwa na ziemi, zaprzeczy tradycyi Mojżeszowej o stworzeniu człowieka, lecz z nieudolności ludzkości sądząc, zgodzi się raczej na tradycyą pogańską iż pierwsze rodu ludzkiego postacie wylęgły się w namule błota ziemskiego. Otóż jakiś *simplex servus dei* nie zrozumiał tej ironii, i sążnisty do nas list wypalił, zarzucając nam, iż głosimy w piśmie naszem zasady Volney'a, iż zaprzeczamy jakoby człowiek stworzony był na podobieństwo boga!

* W niedzielę odbyła się w kościele archikatedralnym uroczystość zakończenia Jubileuszu. Zrana po 6tej godzinie sławny z wymowy ks. Odelgiewicz miał treściwą naukę do ludu. Przed mszą wielką księdza Formaniosza kazanie, zastosowane do okoliczności pobożnych słuchaczów pobudziło do skruchy prawdziwej. Przy mszy wielkiej równie jak i na nieszporach celebrował ksiądz infułat Ostrawsky. Kazanie nieszporne miał ksiądz kanonik Jasiński. JE. ksiądz Arcybiskup na zakończenie przy nieszporach celebrował in pontificalibus przy processyi około kościoła. Dowiadujemy się iż JE. ksiądz Arcybiskup przedłużył na tydzień jeszcze jubileusz dla tych osób które dotąd jeszcze nie miały sposobności odbycia spowiedzi i nabożeństwa jubileuszowego.

* W niedzielę odbyła się proba muzyki tańców pod kierunkiem p. Brunhöfera na strzelnicy. Najwięcej się podobała Philippine-Polka tremblante utworu młodego akademika, znanego go nam z popisów

towarzystwa muzycznego pianisty. Trzykroć powtórzyć ją musiano. Również przemówił szczególnie do wszystkich mazur Lederera.

* Dnia 10go b. m. był Cesarzewicz Jegomość Arcyksiążę Karol Ludwik obecny na festynie Radeckiego w Tryeście.

* Pan Glögl wziął dzierżawę teatr niemiecki na lat dziesięć. Słyszymy iż rok pierwszy ma być rokiem próby, również jak przy wydzierżawieniu polskiego teatru. Wiedeńskie dzienniki piszą iż 15000 złr. panu Göggl administracya funduszu ś. p. Skarbka dopłacać będzie rocznie.

* Dzisiaj w sali redutowej pierwszy bal *fusion*. jutro pierwsza reduta.

Przyjechali od dnia 11. do 12. Stycznia do Lwowa.

PP. Roman Wybranowski z Szołomyi. Ludwik Domaradzki z Cholejowa. Kazimirz Tyniecki z Brzeżan. Henryk Głowacki z Tarnopola. Henryk Malczewski z Hniłowód. Juljan Czermiński z Glińska.

PP. Konstanty Tretter z Łonia. Antoni Gottleb z Liwocza Henryk Kruszewski z Chorobrowa. Władysław hr. Badeni z Surochowa. Aleksander Obertyński z Żołkwi.

PP. Józef Peygert z Sidorowa. Kazimirz hr. Dzieduszycki z Niesłuchowa. Ignacy Kozaryn z Uicka. Apolinary Dydyński z Grąziowy. Aleksander hr. Dzieduszycki z Lachowic. Michał Krajewski z Terki.

Wyjechali dnia 11. do 12. Stycznia ze Lwowa:

PP. Maksymilian Zarzycki do Żółkwi. Hipolit Czaykowski do Sarnek. Mateusz Szklarski do Jarosławia.

PP. Stanisław Jędrzejowicz do Felsztyna. Eugeniusz Strzelecki do Wyrowa.

PP. Jędrzej Strutyński do Wiśniowczyka. Konstanty hr. Ożarowski do Strzemilcza. Jan Dobrzyński do Bogdanówki.

Kurs telegrafowany z Wiednia 15 b. m. o g. 2. po połud.

Augsburg za 100 złr. .	$126\,^{5}/_{8}$	Pożyczka 5% $84\,^{7}/_{16}$ 4½	$71\,^{7}/_{8}$
Hamburg za 100 tal. banco	93	Akcye banku . . .	1027
Londyn za 1 funt szterl.,	12 $13\,^{1}/_{2}$	Kolej północna	$1962\,^{1}/_{2}$
Medyolan za 300 lirów	—	Obl. ind.	77
Paryż za 300 franków .	$147\,^{3}/_{2}$	Nowa pożyczka z loteryą	$100\,^{9}/_{16}$
Agio duk. ces.	31	Pożyczka narodowa . .	$86\,^{1}/_{4}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

	Gotówką		towarem	
Dukat holenderski	złr. 5	kr. 50	złr. 5	kr. 54
Dukat cesarski	« 5	» 54	» 5	« 57
Półimperyał zł. rosyjski	« 10	« 8	» 10	« 12
Rubel srebrny rosyjski	» 1	« 57	« 1	» 59
Talar pruski	» 1	« 52	» 1	« 54
Polski kurant i pięciozłotówka	» 1	« 24	» 1	« 25
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu	» 91	« 10	» 91	« 25

Obligacye. indemnizacyjne z kuponami 75 5 — do 75 złr. 24 kr.

Lwów 5. Stycznia. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 32 złr. — kr. do 34 złr. — kr. — Żyta po — złr. — kr. do — złr. — kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 18 złr. 30 kr. do 19 złr. 30 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do — złr. — kr.— Ziemniaków po 12 złr. 15 do 12 złr. 30 kr. Sąg drzewa bukowego 13 złr. 15 kr. do — złr. Sosnowego po — złr. — kr. do — złr. — kr. w.w. Cetnar siana 3 złr. 10 kr. do 4 złr. 40 kr. Centnar słomy 2 złr. — kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity — Złr.

Doniesienia.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**